ROZMAITOŚCI.

Dnia 30. Marca N:er 13. Roku 1844.

»NIE ŹLI SĄ LUDZIE!«

(Ciąg dalszy.)

SALON.

I woł pług ciągnie! robić to nie sztuka;
Lecz duszną rozkosz wynaleźć w zabawie,
A sercem zgadnąć piękność życia prawie,
To zacna praca, i trudna nauka!
Greka, świat wszystek nie przestaje sławić,
Dla tego tylko — bo się umiał bawić...
***

Ostatnie tony wieczornéj symfonii przebrzmiały nad doliną z wysokiego balkonu i słońce gasło za górami. Urocza cisza panowała w lesie i jak białe puchy łabędzie przewlokły się mgły lekkie pomiędzy olchami, wzdłuż potoku, doliną. Zanadto było jeszcze dziennego światła, aby już oświécić można było salę i całe towarzystwo zebrało się około źródła pod wyniosłą grecką altanę.

»Więc wszyscy do źródła? — i tak się zdarzyło, że się tu bez umowy schodzimy?« zapytała Klara nowe grono przybyłych.

»Nie dziw, bo to takie czasy, że się świat do źródła rzeczy garnie i sercem i myślami;« odpowiedział pan Maurycy. »Dziesięć lat nie upłynęło, jak ta dolina była jeszcze ziemią dziewiczą, i przy tém samém źródle można było widzieć niespłoszone łanie co wieczór. To jużcić powietrze musi być tu świéższe!«

»Tak,« rzekła Klara — »niezepsute, świéższe, ale my z naszą cywilizacyją, damy mu prędko rady. Zamącim' źródła, zarazim' powietrze, skłócim' tę uroczą ciszę, wytniem' ten las piękny i....«

»I pójdziem daléj zapewne?« dodał pan Maurycy.

»Albo przynajmniéj gdzieindziéj.«

»Tak, do miasta, na przykład na zimę? — Cóż, czy zgadłem?«

»O, wielkie to jest szczęście, że zima bywa, i że wszystkie wiejskie zaciszne kąciki mają dosyć czasu, wytchnąć po naszych odwiedzinach. Że się to wszystko może okryć nowym liściem i kwiatem, i odetchnąć świéżém życiem, bo inaczéj nie wiém, coby to się z nami działo? — Nie byłoby się gdzie odświéżyć, nie byłoby gdzie zapomnieć o zimie i o mieście i o karnawale, a co najgorsza, nie byłoby gdzie zapomnieć o sobie.«

»Czyż ta myśl o sobie jest dla pani tyle nie miłą, że przed nią aż uciekać trzeba?« rzekł pan Maurycy.

»I cóż ja panu odpowiém na to? — jestem kobieta i lubię się bawić zwierciadłem; ale cóż, kiedy i zwierciadło nie zawsze daje nam pociechy? — i dla tego pono, szukamy źródeł po świecie, w których się nieraz coś piękniejszego odbija jeszcze od naszéj twarzy....«

»I cóż takiego?«

»Prześliczna naprzykład buzia łani! jak pan sam mówiłes przed chwilą, — i dobrze robią te piękne łanie, że tylko u źródeł piją wodę, że tylko w tych zacisznych dobrach przypatrują się jéj czystości, bo-by jéj pewne nie poznały tam u nas w dolinach.«

»Teoryja pani jest tak piękną, iż jeżeli ją dobrze pojąłem, to podobno nie zgrzészę, gdy powiém, że nas pani na pustynię wyprawiasz? — I zgodziłbym się na to, jeżeli mnie pani zapewnisz, że tam znajdę choć jednę istotę, co będzie umiała czuć wartość tych dzikich piękności.«

Swawolnie roześmiała się Klara. »Ah, pan mówisz jak Russo! Niechże Bóg broni, ja nie chcę pana wyprawiać na pustynię, tambyśmy oboje dostali kataru; bo jak z tych

słów widzę, tobyś pan miał ochotę i mnie zabrać z sobą — nie prawdaż? — Przymówka była bardzo grzeczną, ale ja radzę panu, chodźmy lepiéj do salonu, bo widzę, że się już oświéca.«

»Jakto, to pani czytałaś bezbożnego Russo? może nawet i Heloizę?«

»Bezbożnego?« zapytała Klara. »Czy zawsze jeszcze ruluje Russo z tym przydomkiem po świecie? — Co do Heloizy, to nim panu na to odpowiém, muszę się obejrzéć dokoła, bo nie sądź pan, żebym sobie tak lekce ważyć miała opiniją tych wszystkich pań, które Heloizę pod sekretem czytały, choć się nie przyznają do tego.«

I rzekła mu na ucho: »Czytałam!... ale jak wpan widzisz, nie jestem zgubioną; bo my lubim' wszystko robić na przekorę, i gdyby był autor nie straszył nas w przedmowie, to Heloiza byłaby albo daleko mniéj czytaną, albo daleko więcéj ptaszęt byłoby się na ten lep nabrało.«

Ruch powszechny całego towarzystwa pociągnął i nas za sobą. Wszystkich powitała gospodyni na wstępie, i do razu bez przedmowy, poczęła się rozmowa i zabawa, podobno dla tego, bośmy razem przybyli.

Kilka pająków i lamp oświetliło salę. Na herbacianym dużym stole stał kosz z świéżemi kwiatami, na fortepianie drugi, wonny chłód napływał przez otwarte okno, wieczór był bardzo cichy i spokojny.

Po herbacie wyniesiono stoły i zatoczono małe grupy, a salon na chwilę przybrał inną postać.

W otwartém oknie stanął pan Jan, zamyślony odwrócił oczy od światła i wlepił je w mleczną drogę, a piękne czoło jego świéciło i bladło ku gwiazdom. Długo stał tak nieporuszony, nie zważając na szmer w salonie. Pani Julija, która to spostrzegła, zaszła od okna i zajrzała mu w oczy.

»I o czém tak samotnie?« zapytała.

Wskazał na gwiazdy i rzekł: »Myślę, że to jest księga, i że wielkie prawdy stoją w niéj pisane tym płonącym charakterem, ale my go czytać nie umiémy.« — Urwał potém kwiat z bukietu obok stojącego, a prowadząc Juliję ku światłu, dodał: »Jakito wieczór i przy świétle, ponury ten kwiat i jak dziwnie samotny.... Zagraj nam pani co!...« — Burzliwie, w pełnych akordach, ozwał się fortepian, i powódź tonów rosła. W salonie ucichło, zwolna zbliżyło się wielu słuchaczy i ostąpiono fortepian dokoła. W ościennym ciemnym gabinecie, do którego drzwi stały otworem, usiadłem z przyjacielem na sofie, a przed duszą naszą, snuły się obrazy tęczą tonów malowane, bo Julia przechodziła w swojéj czarodziejskiéj fantazyi pieśni narodowe wszystkich prawie ludów Europy, a umysły słuchaczy odbywały z nią razem w nadpowietrznéj niby żegludze pielgrzymkę po całéj Europie. Najrzewniejszy był koniec téj fantazyi, bo się w nim ozwała lutnia téj ojczystéj muzy, która pokochała te rozległe równiny między Odrą a Dnieprem, i rada przebywa na pobojowiskach i ruinach, — która pokochała te zaciszne długie sioła pomiędzy sadami, te obszérne łany kłosami płynące, i proste serce tego ludu od roli. Fantazyja ta, rozpoczęta głosami rozpaczy, a zakończona cichą niby modlitwą wiejskiego ludu, wprawiła w rozkoszny jakiś ruch wszystkie umysły przytomnych; zażądano pieśni, i Klara zasiadła do fortepianu, przegrała naprzód kilka smętnych dumek podolskich, a po nich ozwał się śpiew.*)

»A cóż za piekna pieśń!« zawołali wszyscy razem, kiedy ją skończyła. Nasz trefniś chwalił muzykę i głęboki jéj charakter w oddaniu téj pieśni.

»Czyja to piosnka?« zapytała pani Krakowska.

»Nie wiém,« rzekła Klara, »pieśni takie stają się teraz coraz częstsze, idą z rąk do rąk, z domu do domu. Nie wiedziéć, kto je pisze czy śpiéwa. Ja myślę sobie nieraz, że je nikt nie pisze, jak nikt nie sieje kwiatów na łące, a przecież kwitną i pachną széroko. Pieśń zdaje mi się, że się może obejść bez autora, i sądzę nawet, że albo ona autorowi, albo autor jéj zawadza na świecie. Dla mnie przynajmniéj mają takie pieśni najwięcéj powabu, o których nic więcéj nie umiém powiedziéć, nad to, że mi się podobały bardzo.«

»Słusznie,« rzekł wójt — »ja trzymam z panią.«

*) Dołaczony do dzisiejszych Rozmaitości na oddzielnéj ćwiartce.

»A co najlepsza, panie wójcie,« mówiła dalej swawolnie Klara, »że nam obojgu przy takich gustach i historyi literatury nie potrzeba, a i to nie mała korzyść, że się nic lichego, nic podrobionego, nie zakradnie do takiéj literatury śpiewanéj. Jakże panie wujcie, sądzę, że dosyć wygodnie pojmuję tę rzecz?«

»Wyborna pani jesteś, wyborna!« rzekł wójt, całując jéj rękę. »Otóż jeszcze raz o tę gwiazdkę prosimy, moja śliczna gwiazdko!«

»Kiedy na saméj poezyi taka tajemnica leży,« mówił nasz trefniś, »niechajże wolno przynajmniej będzie wiedzieć, kto tę tak piękną skomponował muzykę?«

»Ja dobrałam ją,« rzekła Klara obojętnie.

»Jakto? czyś ją pani skomponowała, czyś ją pani dobrała tylko?«

»Może to jest w istocie jedno, co pan tutaj tak bardzo rozróżniasz. Ale prawdziwie, ja nie umiém i na to opowiedzieć pytanie. Pan uśmiéchasz się? Proszę mi wierzyć, ja mówię seryjo, iż sama nie wiém o tém, czym skomponowała tę muzykę, czym ją tylko dobrała, jak nie wiém, czyja jest pieśń. Usiadłam do fortepianu, poczęłam śpiéwać, prześpiéwałam ją raz i drugi, i zdaje mi się, żem tę pieśń i tę muzykę już dawniéj gdzieś słyszała, lubo w istocie znam ją od tygodnia dopiéro.«

»Muzyka ta jest głębszą od pieśni. Wszakże mi to pani sama przyznasz?«

Klara rozśmiała się w głos, wstała od fortepianu, dygnęła mu bardzo nizko, siadła potém, wstała znowu, poskoczyła ku niemu, podała mu rękę i ścisnęła rękę jego po męzku.

»Co to jest? nie rozumię!« zapytał trochę pomieszany.

»Chcąc ująć saméj piesni, zrobiłeś pan autorowi mimowolny komplement, który do mnie miał trafić. Bo nie da się nic więcéj na pochwałę poezyi powiedzieć, jak to, że przeszła w śpiéw, w lud, że do niéj dobrą muzykę dobrano. Za komplement spłaciłam pana drobną monetą i dygnęłam mu grzecznie; za prawdę, choć mimowolną, ścisnęłam mu rękę z przyjaźnią. Jakże, czyś pan kontent z tego tłumaczenia?«

»O, pani jesteś figurą, którąby Göthe był wybornie umieścił w najpiękniejszym swoim romansie!« zawołał trefniś.

Słowa te uraziły jak się zdało Klarę, i rzekła dosyć szorstko: »Bo też Göthe był człowiekiem do rozdawania ról, ale po nim nie łatwo być takim anteprenerem! Pozwól pan, że w mojéj własnéj pozostanę roli, i nie w romansie pisanym, ale tu między nami w życiu, a jak na teraz, przy tym fortepianie.«

»Co tam znowu asaństwo na jakieś mądre popadliście rzeczy? Prosimy jeszcze o gwiazdę, prześliczna gwiazdko nasza!«

»Nie, panie wójcie, o gwiazdce spiéwać już nie mogę! Kiedy mi ktoś coś już roztrząśnie i rozbierze, to już nie jest dla mnie, a czego nie mam, tego i dać nie mogę. Gdybym wiedziała, że o tych kwiatach, co tu przed nami stoją, piszą gdzieś w mądrych książkach za numerem, tobym wszystkie kwiaty za powrotem do domu wyrzucić kazała z ogrodu, jak tę pieśń wyrzuciłam z serca i z myśli. Ale ja wam, panie wójcie, pieśń zaśpiéwam o nie złych ludziach, którzy tak świécą na ziemi, jak gwiazdki na niebie, chociaż ich nie można dojrzéć z tak daleka, i szukać ich dopiéro potrzeba po zacisznych kącikach:

Chociaż to życie idzie po grudzie,
Jak mi Bóg miły, nie źli są ludzie!
Ten temu swat, ten temu brat,
A już dobremu to każdy rad!

Wolę ja, wolę, żyć w małém kole,
Gdzie wszystko własne, choć niby ciasne,
Ten temu swat, ten temu brat,
A każdy kącik, to cały świat.

Co w świecie z-ziębło, co ordzewieje,
Tam się odswieża, tam się rozgrzeje:
Bo ten mi swat, a ów mi brat,
Życie jak młodość, serce jak kwiat!

A gdy znów człowiek siły nabierze,
I w świat się rzuca: to w dobréj wierze,
Każdy mu swat, każdy mu brat,
I wszystek Boży jest jego świat...«

»Zdrowie nie złych ludzi!« zawołał wójt i kazał podać wina. Klara powstała od fortepianu, a ktoś inny uderzył po niéj swobodniéj w klawisze, i raźny ozwał się mazur. Równie naturalne przejście, jak było od »nie złych ludzi« do toastu, było od toastu do mazura. Widząc, że się na tany za-

nosi, wynieśliśmy się w kilku na przechadzkę i lulki do lasku. W lasku była urocza cisza, niemo i poważnie wznosiły się czarne jodły, kręta ścieżka wiodła nas do palącego się źródła, którego jasny, blady płomień migał już zdala pomiędzy gęstwiną; obok nas upływał z cichym szmerem mały strumyk, ponad nami przepływały gwiazdy, czasem tylko dolatywał nas zdala przerywany odgłos hucznego mazura, dziwnie kontrastując z tą poważną spokojnością natury.

»We dnie,« rzekł pan Jan, »nić ma dla mnie ani ten las tyle powabu, ani to palące się źródło, ale nocą, kiedy tak cicho jak dziś, ma to ustronie dziwny jakiś urok i ten święty ogień, co się z łona ziemi dobywa, ma dla mnie tak coś zajmującego, i tyle mi pięknych nasuwa myśli, iż byłbym w stanie tu przesiedzieć noc całą przy tym ogniu!«

»Moja ty westalko, czy nie masz cygara?« ozwał się pan Brunon.

»Mam, ale żałuję, żem się tu nie sam wybrał, i na dobrą sprawę, nie dałbym nawet cygara zapalić przy tym ogniu.«

»A to dla czego?« zapytał pan Bruno, »jabym przy niém, kiedy takie święte, nawet ląt zapalił!«

»W istocie,« rzekł pan Tytus, »uważałem to nie raz, na osobach różnego wieku i różnego usposobienia, że widok tego ognia, co się tajemniczo z-pod ziemi wydobywa, obudza we wszystkich pewne przerażenie i jakąś cześć niepojętą. W pogańskich czasach czczono zapewne przy tém źródle jakieś bóstwo świętego ognia.«

Tak upłynęła nam może godzina przy źródle na platonicznych rozmowach, kiedy nas kilka głosów powołało na powrót do sali.

Kiedyśmy powrócili, kończono właśnie mazura szumném krakowskiém weselem. Jaki taki, odprowadziwszy tancérkę na miejsce, poskoczył do fortepianu i dziękował za taniec.

»Przepraszam moi panowie!« zawołał wójt, »przypomnę wam narodowy zwyczaj słowy Brodzińskiego:

Skrzypkom do basów sypnął grosza hojnie,
Ojcom za stołem skłonił się przystojnie...

od ukłonów uwalniamy, a o grosz prosim!« i podał tacę.

»Panowie, za taniec!« zawołało kilka głosów razem, zrzucono garść śrébra na tace.

»A kiedy tak,« rzekła Klara, »to i ja się o moje upomnę!« i wraz z Juliją obeszły z tacą po sali dokoła i zebrały znacznie więcej, a już nikt nie mówił o tém, na kogo szła kwesta.

»Jak mi się to wszystko osobliwém wydaje, co tutaj słyszę i na co patrzę!« ozwał się pan Jan do pani Krakowskiéj.

»Nie dziw,« rzekła mu z uśmiechem, »bo wpan wracasz z za granicy i z wielkiego świata.«

»W istocie, czuję to aż do języka, że jestem cudzoziemcem, że mi się wszystkiego uczyć wypada, a jednak ma to wszystko, od czego odwykłem, co sobie jak przez sen tylko przypominam, tyle powabu dla mego serca, iż mogę powiedzieć szczérze, że dopiéro od powrotu mego do Polski, prawdziwie żyć zacząłem, wszystko mi tu miłe.«

»Kto tak poczciwe serce przynosi z sobą do kraju,« rzekła pani Krakowska z uczuciem matki, ten przynosi z sobą skarb prawdziwy. Jak długo bawiłeś wpan za granicą?«

»Przeszło lat dziesięć. Wyrostkiem prawie wysłali mnie rodzice na naukę za granicę, najdłużéj jednak mieszkałem w Paryżu.«

»Nie najlepiéj wydaje się u nas zapewne niejedno wpanu?«

»Ja cenię najwyżéj moralną stronę człowieka,« mówił pan Jan, »i z tego stanowiska zapatrując się na świat, nie miałem jeszcze powodów do narzékania, od czasu, jak powróciłem do kraju. Przeciwnie, poznawszy świat nieco, nie wydaje mi się dziś już nic tak poważném w swiecie, jak człowiek, co uprawia rolę.«

»Życzę wpanu, żebyś to mógł powiedzieć, gdy w mym wieku będziesz.«

»Jakto? Czy pani dobrodziéjka sądzisz, że ja się łudzę tylko? Czyli może jedynie traf szczęśliwy zetknął mnie z ludźmi dobrymi?«

»O nie!« rzekła pani Krakowska, »ja podzielam zdanie wpana. W wieku jego okazuje się zapewne świat w najpiękniejszych kolorach; ale bo téż nié ma szczęścia, jak kochać ludzi, i życzę wpanu z serca, żeby cię nic nie zbiło z téj drogi, znając to z do-

świadczenia, iż świat zwykł się mieć tak do nas, jak my się mamy do niego. Wybacz mi, ale dziwi mię to jednak, że wpan sądzisz tak wytrawnie o tych rzeczach, że w tak młodym wieku, szukasz w człowieku jedynie człowieka, bez dodatku, żeś się poznał na tém, co prawdziwą wartość kraju naszego stanowi. — Pozór cywilizacyi i nowości ma wielkie ponęty i zwykł omamiać swym blaskiem szczególniéj młode umysły. Czyś wpan poznał dużo ludzi szczęśliwych na świecie?«

»Objechałem całą Europę, widziałem część małéj Azyi i północne wybrzeża Afryki, a przypatrując się różnym krajom, strefom i ludom, zapytywałem siebie zawsze o jedno. Rozpoznanie tysiącznych stosunków ludzkich, w domowem i społecznem pożyciu, rodzin, pokoleń i narodów, daje pewną zimną, rozumową spokojność duszy. Jestto wielka galeryja historycznych obrazów, czyli raczéj wielki dramat ludzkości, rozłożony na obszarach kuli ziemskiéj. — Gdy się człowiek rozumem téj grze tysiącznych żywiołów przypatrzy, zaduma się w końcu i wraca do Boga; zupełnie inne jednak wrażenie wynosi serce z powodzi tych obrazów tłumnych. Widok tego pasowania się ludzkości, w którém człowiek pojedyńczy, zazwyczaj pada ofiarą, przejmuje serce smutkiem i cichą jakąś żałobą. Tysiączne nadzieje i obawy, które ludźmi i narodami miotają, gwałtowność stronnictw, burza nieunoszonych namiętności, te śmiałe hazardowe stawki, przejmujące trwogą obok otrętwiałości moralnéj, ta wrzawa przemysłowych zabiegów, obok nędzy i nieszczęścia, na które nie wynaleziono recepty, ten postęp pełen stagnacyi, obok zdziczałéj cywilizacyi, albo pierwotnéj ciekawości ludów — a szczególniéj ta pewna gorzka, sardoniczna ironija życia, która we wszystkich stosunkach ludzkich zwycięzką wychodzi ręką, szydząc niby z niemocy człowieka zarówno, czy jest złym czy dobrym, czy światłym, czy ciemnym, — to wszystko razem — nie daje sercu pociechy, i gdyby człowiek, będąc sam aktorem w tym dramacie, nie mógł z téj walki wynieść tego przekonania, iż nic mu nie zdoła odjąć jego godności moralnéj, jeżeli jest w istocie zacnym, — wówczas byłby bardzo biédnym.«

»I to wystarcza?« zapytała pani Krakowska z zadziwieniem.

»Wystarcza zupełnie!« rzekł pan Jan, »bo pojmując życie, należy się obliczyć z swojémi siłami i pogodzić z rzeczywistością, — luźni tylko ludzie mają chęci bez granic, lub biorą się nie za swoje, — mąż oblicza się z siłami, godzi się z rzeczywistością, zakreśla sobie sferę i działa.«

»I z takiémi to myślami powracają dziś młodzi ludzie z Paryża?« zapytała pani Krakoska, »w młodości mojéj, kiedym żyła we Francyi, inne krążyły tam myśli i inna młodzież wracała z Paryża do kraju!«

Pan Jan zrozumiał to zobowiązujące zeznanie i rzekł: »Bardzo dziękuję pani dobrodziejce! W istocie zdaje mi się, iż z podróży tę tylko największą korzyść wynosi człowiek, że w prawdziwém świetle pojmuje potém swój kraj, swój naród i samego siebie.«

»Ja nie zgodziłbym się na to wszystko, coś tutaj powiedział!« ozwał się pan Brunon. »Jakto? stopień cywilizacyi nie miałby robić różnicy między narodami, żeś tak wszystkie stosunki ludzkie na równi postawił?«

»Przed sądem historyi stoi wszystko na równi;« mówił pan Jan, »a narody wypada jużciż sądzić sądem historyi. Stopień cywilizacyi sprawia to tylko, iż trudniéj jest pojąć prawdziwą fizognomiję narodu, — a co gorsza, że zdjąwszy ten tynk powiérzchowny, tę politurę, ten pokost, tę pozłótkę, czyli, jak to nazwać zechcesz, ukrywa się pod tym płaszczykiem zazwyczaj wielka nędza moralna, ubóstwo, czczość. Co do mnie, wolę surową siłę dzikiego Araba, albo zimną rezygnacyję kwakra. Stopień cywilizacyi robi co do istoty samych narodów, małą różnicę, i nigdzie nie spotkałem się z narodem, coby miał przywiléj na rozum, na genijusz, na cnotę lub szczęście. W podział to idzie!«

»A gdzież postęp ludzkości?« zapytał pan Brunon. »Jakże się z tego wyrąbiesz?«

»Postęp, postęp...« rzekł pan Jan obojętnie, »jestto rzecz, o któréj wiele mówią. W odetkanéj butelce wietrzeje wino, kwaśnieje albo i wysycha. — Wszakże znasz panie Brunonie aparata chemiczne, w których śklanne rurki przeprowadzone zostają przez

retort kilka? Pędzą w nich eter, żadna jednak z tych retort nie jest pełną i żadna nie daje eteru sama przez siebie, a jeżeli je nie opatrzysz szczelnie, to go i nie będzie!«

»To nie jest odpowiedź na moje pytanie!« rzekł pan Brunon.

»Przekonaj mię,« mówił dalej pan Jan, »że dla Araba mniej jest dogodnym na pustyni koń, lub wielbłąd jego, niż dla Anglika statek parowy i kolej żelazna, a uwierzę w to, iż dla wszystkich narodów jedne się przydadzą stosunki. Powoli tam bardzo jechać potrzeba, gdzie ludzkość dziś zajechać myśli wyskokiem pary na żelaznych drogach.«

»Gdzieżby była prawda?« zapytał pan Brunon.

»W rzeczywistości, która nie jest tyle sworną, aby się dała ująć w ramy czasowych teoryj!« rzekł pan Jan. »Wierzę w postęp ludzkości całéj, bo wierzę w Boga, — człowiek zrobił swoje, jeżeli umiał być panem swych namiętności zgubnych, a i naród jest tylko człowiekiem.«

Klara, która się od początku w milczeniu przysłuchiwała téj rozmowie, przerwała ją teraz nagle: »Wpan unosiłeś się nad surową siłą dzikiego Araba, powiédz nam co o pustyni, o poezyi tego kraju i ludu!«

Pan Jan uśmiéchnął się. »Nie budź pani we mnie tych obrazów,« rzekł, »które raz przed duszą zeszłe, zostawiają po sobie pamięć uroczą, podobną do dni szczęśliwych i marzeń porannych!«

»Cóż wpana uderzyło najwięcéj w jego podróży?«

»Niebo! Niebo! I szczęśliwy jestem, żem pod różném niebem oglądał te cuda Boże! — Niebo Afryki jest płomienne i gorejące wielką miłością jak dusza ś. Augustyna; widzieć go potrzeba, ażeby pojąć można równie święty zapał.«

»A lud?« zapytała Klara. »Czy ci Beduini i Arabowie są w istocie tak pięknymi zagorzelcami, takimi rycérzami pustyni, jak Farys Mićkiewicza?«

»My w Europie,« rzekł pan Jan, »mówimy dużo o samodzielności duchowéj, ale dzielność i udzielność swoją czuje tylko człowiek na pustyni. — Zadumany siedzi ogorzały Arab pod namiotem, kaptur białego burnusa osłania w części jego twarz miedzianą. Wyniosła palma wystrzéla nad nim samotnie ku niebu, gęste zarośle barbarzyńskiéj figi otaczają nieprzebytym prawie murem małą jego dziedzinę, — za namiotem klęczy wielbłąd i żuje jéj liście do kaktusu podobne, a kilka jéj owoców leży przed panem pustyni na małéj srebrnéj czarce. W głębi namiotu, lub około wielbląda tulą się niewiasty, koń stoi na wnijściu, a opuściwszy spokojnie głowę, bawi się z dzieckiem. W głębi tego obrazu pustynia, nieogarnięte myślą morze piasków bez początku i końca, podobne do wieczności. To całe bogactwo, to cały skarb, to życie Araba! — A jednak za cenę téj dzikiéj swobody, za tych kilka fig barbarzyńskich i kubek czystego zdroju, waży on z miłością każdéj chwili życie, i hardą duszą zdaje się tylko ubolewać nad tém, że każdy dzień jego życia nie może być więcéj, jak tylko jednym dniem boju! W oczach jego maluje się jakaś wyniosłość duszy, patrząc z pogardą na człowieka innéj części świata, zdaje się mówić: »Jak jałmużnę rzuciłem wam całe skarby i umiejętności starego świata, ale co najwyższe na ziemi, swobodę i dzielność, zostawiłem sobie, i dziś panuję pustyni...« O, biédnie wyglądają ci drobni Francuzi w Afryce obok Beduinów, bo tam dopiéro są oni żywą ironiją prostoty ducha i surowéj dzielności człowieka.«

Z dobrocią uśmiéchała się pani Krakowska. »Piękny to zapał młodéj duszy;« rzekła, »obraz pełen poezyi! Ale pan zdajesz się zapominać, żeśmy w Europie starsi a wyżsi od Beduinów o całe Chrześcijaństwo!«

Pan Jan westchnął i rzekł po chwili: »Prawda!« a obracając się do Klary, dodał niby z lekkim wyrzutem: »Wszakżem prosił, żebyś pani nie budziła tych obrazów¿«

»W imię téj pięknéj poezyi obłąkanego serca,« mówiła Klara, »odpuszczamy panu wszystkie jego pogańskie bluźnierstwa, ale pod jednym tylko warunkiem!«

»Pod jakim?« zapytał.

»Jeżeli nam pan co zaspiewasz o pustyni; bo jużciż poezyją nam wolno i w Europie grzészyć.«

»Tak dawno już i z tak daleka,« rzekła

pani Julija, »dochodziły nas wieści o pańskim spiéwie, dziś poznawszy go, trudno nam przestać na samej tradycyi....«

»Prosimy! Prosimy!« zawołali wszyscy razem.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 13. i obejmuje: 1) Sucha zgnilizna ziemniaków, i najpewniejszy środek, zapobiedz téj nieuleczonéj chorobie; przez Ferdynanda Stiebera, reprezentanta dominikalnego w Andrychowie, korespondującego członka wielu towarzystw naukowych. (Dokończenie.) 2) Najlepszy sposób przyrządzenia bermy do zaciérów kartoflanych i zaciérania kartofli. 3) Doświadczenie z żywieniem koni kartoflami. 4) O podciéraniu i podbieraniu pszczół na wiosnę. 5) O kolei żelaznéj krakowskiéj. 6) O rzepie, buraki cukrowe zastąpić mającéj.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Nr. 7. i zawiéra procz mód, następujące artykuły: 1) Stłuczone okno, powieść przez Józefa Dzierzkowskiego. 2) Franczeska Rimini, ustęp z pieśni V. boskiéj komedyi Dantego. 3) Czyż warto żyć? wiersz Alex. P... 4) Wspomnienia. 5) Nowości literackie.

Z Warszawy. *Biblioteka Warszawska* na miesiąc marzec zawiéra: 1) O zewnętrznych działaniach bezprawnych w ogólności, przez Franciszka Maciejowskiego. 2) Zdobycie Tarragony, roku 1811, przez Ad. Am. Kosińskiego. 3) Uwagi nad dziełem Ludwika Gisebrecht, pod tytułem: Historyje Wendyjskie z lat 780—1182, przez W. A. Maciejowskiego. 4) Poezyje. 5) Praktyczny rozbiór pisma p. Józefa Kremera: Listy z Krakowa, przez A. Tyszyńskiego. 6) Rozmaitości. 7) Kronika literacka. 8) Kronika zagraniczna. 9) Kronika bibliograficzna. 10) Doniesienia literackie. 11) Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc styczeń 1844.

Korrepetytor ks. Józefa Poniatowskiego. Dnia 19. lutego b. r. umarł w Zdzisławicach, w Czechach, X. J. N. Stassek, ostatni Benedyktyn sławnego niegdyś klasztoru w Sazawie. Podczas swoich filozoficznych studyjów był korrepetytorem w matematyce księcia Józefa Poniatowskiego, który na ówczas nauki w Pradze pobiérał. Złożył on poźniéj śluby zakonne, ale gdy klasztor sazawski zniesiono, wyświęcił się na kapłana świeckiego i został w 5 lat po bohatérskim zgonie swojego byłego ucznia, proboszczem w Zdzisławicach, gdzie w 85. roku życia swojego ze świata zeszedł. Znany był ze swojéj głębokiéj wiadomości czeskiego i łacińskiego języka; po niemiecku wcale nie mówił.

Franciscus Colonna nazywa się nowy romans, który z pozostałych pism nie dawno zmarłego Karola Nodier wyszedł témi dniami w Paryżu. *Journal des Débats* ogłasza to dzieło z następującą uwagą: Czytając niniejsze pisemko, tak w swojéj przejrzystéj czystości wzniosłe, zdaje się, iż poeta chciał w téj ostatniéj myśli złożyć całą obfitość swéj wieszczéj duszy, cały wdzięk swego stylu, cały melancholijny urok i tę igrającą swobodę swojego ducha.

Redaktorowie pism czasowych do swoich czytelników. Dziennik angielski *Waterford Chronicle* zawiéra następujące *Nota bene* swego wydawcy: Pisano już tyle o cierpieniach i bolach, troskach i kłopotach dziennikarskich, że ten przedmiot stał się poniekąd oklepanym. Dla tego też milczeliśmy dotąd umyślnie o tych jeremijadach. Tego tygodnia jednak nie możemy się wstrzymać, aby nie szepnąć choć jednego słówka do ucha pewnym ludziom, którzy się przez to w swoich nadziejach zawiedzionymi widzą, iż nie każdy artykuł, w każdym numerze, odpowiada smakowi każdego czytelnika. Cóżby, na przykład, odrzekł szewc na to, gdyby go ktoś wyłajał, że nie każda para butów, którą ma w sklepie, przyda się na każdego nogę, i chciał go dla tego nazwać partaczem? Albo dajmy na to, ów ktoś byłby jeszcze nierozsądniejszy i wyrzekłby, iż tylko te buty są kompletnie nie zdałe i partackie, które się dla niego samego nie przydały; nie miałżeby szewc wtenczas słuszności, nazwać go kompletnym osłem? Otoż to samo, coby ów ktoś uczynił, czynią ci także, którzy każdy artykuł dziennikarski do swego własnego przymierzają smaku i sądzą, że ich własny smak jest smakiem całego świata. Bynajmniéj moi panowie! Owszem, macie wszyscy wiedzieć, iż powinnością redaktora dziennika jest, nie zadawalniać każdego tygodnia zawsze tych samych. Gdyby szewc jaki wszystkie swoje niezamówione buty na kopyto swoich zwyczajnych kupców robił, przekonałby się wkrótce, że ci jego zwyczajni znajomi, daleko mniejszą część całéj w butach chodzącéj publiczności stanowią. Nie, przeznaczeniem redaktora jest podawać co tydzień taką odmienną rozmaitość, aby każdy zbyt niewybrydny czytelnik miał sposobność, znaleźć coś podług swojego smaku. Przytém są jeszcze ludzie, którzy nieomylności po redaktorze oczekują. Chcą, aby wszystko wiedział, nigdy nie zawiódł, ani się sam dał zawieść, i był wolen od tych wszystkich wad i ułomności, które są udziałem człowieczeństwa. Żądają aby wszystko, co im w swoim pismie donosi, było nową i niezawodną prawdą, aby im każdéj ciekawéj pogłoski udzielił i zaraz za nią zaręczył. Żadna okoliczność nie powinna być pominiona, bez zostawienia zwłoki, którąby mu się bliżéj o tém wywiedzieć dozwoliła. Jednem słowem, ci wszyscy dobrzy ludzie żądają i spodziéwają się po redaktorze, czegoby się sami za nic w świecie podjąć nie chcieli!

Dyrektor narodowego teatru węgierskiego ogłosił powtóre nagrody za prace dramatyczne. Odstępuje autorowi każdéj narodowéj sztuki cały dochód jednego wieczora; późniéj otrzymuje autor z każdego przedstawienia, które potrąciwszy wydatki dzienne, przyniesie 200 lub więcéj reńskich wal. 5ty procent; rozumie się pod warunkiem, aby sztuki nabyte w ten sposób od teatru narodowego, bez tegoż pozwolenia na żadnéj innéj scenie w Peszcie lub Budzie przedstawianémi nie były. Oprocz tych zwyczajnych nagród wypisuje dyrekcyja teatru narodowego jeszcze 3 nadzwyczajne: 1) 50 dukatów za oryginalny dramat, który największe wrażenie zrobi, i 2) 60 dukatów za najlepszą węgierską operę narodową. Osnowa do obu sztuk ma być wzięta z obecnego lub dawniejszego życia narodu, muzyka zaś powinna duchowi węgierskiemu odpowiadać. Mimo to jeszcze są autorom, którzy te nagrody pozyskają, udziały z dochodów zapewnione. 3) 10 duk. za najlepszą melodyję narodową.

Taniec Polka w Paryżu nabywa coraz większéj wziętości. Dotąd jednakże umié go bardzo mało osób, chociaż »*le célèbre professeur*« Cellarius, przynajmniéj 18 lekcyj tego słowiańskiego tańcu przez dzień udziela. Na jednym wielkim balu u prefekta Sekwany, który przeszło dwa tysiące osób sprosił, nie było nikogo, coby umiał był tańczyć polkę. Całe towarzystwo słuchało długo w uroczystém milczeniu jéj żywéj i oryginalnéj melodyi, aż nakoniec jakiś Niemiec z niemiecką damą uczynili

zadość nieustannemu wzywaniu orkiestry i zaczęli sami śród powszechnego podziwu i oklasków polkę tańczyć. Odtąd, kto tylko chciał dać bal, musiał sobie u swoich znajomych kilku tancerzów polki — pożyczyć; ale najczęściej nie chce ich nikt wynająć. »Ja mam pani moich danserów polki pożyczyć?« mówiła hrabina L* do swojej przyjaciółki, »nie, to być nie może, moja droga; daję sama wieczór w niedzielę i nie chcę mieć stańczonych danserów.« Przezto staje się taniec polka prawdziwym szałem. Ktokolwiek nie może sobie nigdzie tancérzy do niéj pożyczyć, uznaje konieczną potrzebę uczyć się jéj samemu, i tym sposobem własnem znowu uczeniem wykształcić sobie grono tancérzów dla swego balu. Tancmistrz *en vogue* Cellarius nie wie już, co się z nim dzieje. Pani margrabina C* udała się nie dawno do niego, aby brać lekcyje polki. Wszystkie już godziny były zajęte; jedyna tylko od 3. do 4. zostawała. — »Jestto wprawdzie moja godzina do spaceru,« odpowiedziała margrabina; »lecz dla polki można zrobić ofiarę.« — »Przepraszam panią; zachodzi tu nieporozumienie; godzina, o któréj mówię, jestto między 3. a 4. z-rana. Nie długo jednak zostanie wolna.« — Cóż było robić? Pani margrabina nie chciała się w cudzém towarzystwie uczyć pożądanego tańca i musiała brać lekcyję od 3. do 4. z-rana. Dziwny ten zapał do polki nie panuje z-resztą między młodémi tylko damami, lub elegantami, którzy się jeszcze po téj stronie trzydziestu lat znajdują; ogarnął on zarówno i posiwiałych już modnisiów, bankierów, uczonych, a nawet panie, które już swoję 45tą wiosnę przeżyły, i najniezmordowańszego bohatéra tańców swoją zbyt poważną tuszą i okrągłością odstraszają.

Kabylowie są jak wiadomo najokrutniejsi nieprzyjaciele Francuzów w Algierze. Pewien świadek opowiada następujący przykład ich wzgardy śmierci i oziębłéj spokojności śród boju. Jeden kabylski wojownik z prowincyi Oran zaczaił się za krzakiem, do którego oddział legii cudzoziemskiej się zbliżał. Niepodobna było wstrzymać się Kabylowi, aby choć jednego nieprzyjaciela nie ubił. Dał ognia i położył trupem oficéra dowodzącego oddziałem, a sam chciał się ucieczką zbawić. Wnet jednak dognała go francuzka kula, — padł. Mógł się przecież jeszcze na kolana podźwignąć, aby zmówił modlitwę. Nadbiegli żołnierze, i chcąc się zemścić swojego kapitana, uderzyli na niego. Pchnięcie bagnetem obaliło go poraz drugi na ziemię; poraz drugi wszakże podniósł się ranny Kabyl i modlił dalej. Powtórzone pchnięcie przeszyło go na wylot, on szeptał jeszcze swoję modlitwę. Tak go dziewięćkrotnie przeszyto nim skonał i modlić się zaprzestał.

Odpowiedź Foxa. Podczas swego pobytu w Paryżu był ten wielki polityk raz u hrabiego S* na obiedzie. Gdy goście wstali od stołu, udał się Fox przypadkiem z hrabią do gabinetu, w którym mapa świata wisiała. »Czy podobna?« zawołał hrabia, wskazując palcem na Angliję, »aby takie w porównaniu małe wyspiarskie państwo prawie nad połową świata panować miało?« — »O,« odparł Fox obojętnie, wskazując także na mapę, »Anglija jest tylko nasz dom zajézduy. Lecz świat, panie hrabio, świat — to jest właściwie Anglija.« W tych kilku słowach skréślił całą dążność angielskiej polityki.

Jest trzy razy tyle wdów co wdowców; mężczyzni bowiem nie zostają długo wdowcami, żenią się zaraz nanowo. Niektórzy sądzą, jakoby to ztąd wynikało, że każdy mąż sobie myśli: gorszej już nie dostanę niżli była nieboszczka; dla czegoż więc nie mam sobie polepszyć! Gdy kobiety przeciwnie myślą: takiego dobrego męża nie dostanę już nigdy; nacóż mam sobie więc pogorszyć! — Inni znów wnoszą, że kobiecie już się jeden mąż dał tak weznaki, iż straciła wszelką ochotę iść za drugiego; podczas gdy mężczyzna znalazł posiadanie żony tak miłe, że nie mogąc mieć ich wiele od razu, bierze ich przynajmniej tyle ile możności jednę po drugiej.

Ubóstwo w Irlandyi. J. Venedey pisze w swojém dziele o Irlandyi: Nędza w Irlandyi ma wcale inną postać jak w Anglii. Większa część angielskich żebraków, których napotykałem w Londynie, wzbudzała szczere politowanie we mnie, wszyscy bowiem mieli na sobie piętno podupadłéj wielkości. Nigdy mi w Anglii na myśl nie przyszło, przypomnieć sobie na ich widok owe »*Vivent les gueux!*« Bérangera. Na dumném czole każdego z tych żebraków widać było niezatarte ślady uczucia swojéj nędzy i godności lepszego losu. Równie też i postępowanie ich zupełnie inne; milczą oni zazwyczaj, a to milczenie takie wymowne! Siedzieli przy drodze, nie mówiąc ani słowa, i napisali na ziemi: *We are hungry* (Jesteśmy głodni). Nie zapomnę nigdy téj rodziny, złożonej z ojca, matki i trojga dzieci, które jak wędrowne szkielety przechodziły zwolna, mrucząc niekiedy psalmy, poprzed memi oknami. O, jeżli Anglija żebrać musi, natenczas nie będziemy już mogli znaleźć żadnego straszniejszego przekléństwa! Ale irlandzcy żebracy wcale inni. Mogłem ich już w Londynie rozeznać od angielskich. Są przeciwnie wymowni, mają długie, patetyczne ustępy w pogotowiu, usta ich płyną miodem, pragną koniecznie zająć. A patrząc na nich, widzisz w ich twarzy tyle czerstwego zdrowia, tyle zadowolenia z samych siebie, taką spokojność ducha, że mimo brudu i łachmanów mógłbyś zwątpić o prawdzie téj złotoustéj nędzy. Każdemu angielskiemu żebrakowi cięży klątwa boża na czole; każdemu irlandzkiemu, rozjaśnia lica promień miłosierdzia łaskawego sędziego. Tamci są nędzni, nędzni nad wszelki wyraz, nędzni z uczuciem swojéj nędzy, — ci są po większéj części tylko ubodzy. Ubóstwo to jednak znajduje się tu wszędzie obok bogactwa. Nie tylko że ulice ubogie tuż do eleganckiéj części miasta przytykają, ale można jeszcze być pewnym, iż nie zrobimy kroku, aby nie postrzedz niedostatku i biedy. Zdybałem raz pyszny wóz pogrzebowy, o 6 koniach, z mnóstwem piór strusich; hardy woźnica w długim czarnym płaszczu z daleko powiewającą krepą, w trójgraniastym kapeluszu, siedział na koźle, a przy nim parobczak w podartych spodniach, boso, mający na sobie koszulę, którą chyba wprawne oko mogło rozróżnić od ciemnego spencera. Zaraz za wozem szło kilka bogatych ekwipażów i długi szereg fiakrów. Ubóstwo jest tutaj ciągłém *memento mori* bogactwa, i krok w krok za niém, jak cień za ciałem się wlecze.

Nowina dla graczów w bilar. W jednéj kawiarni w Paryżu zajmuje teraz powszechną uwagę nowo wynaleziony bilar okrągły. Z takiéj przemiany czworogranu w koło wynikają naturalnie zupełnie nowe kombinacyje; przezco najwprawniejsi gracze nanowo swoję naukę na okrągłym bilarze zaczynać muszą.

U jednego księgarza w Swinemünde wyszedł słownik złodziejskich wyrazów wszystkich narodów »dla sędziów kryminalnych, adwokatów, lub też i innych ludzi, którzy chcą się go nauczyć.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.